

opanować swojego zadowolenia, podszedł nagle do Michaliny i serdecznie ucałował jej policzki.

— To mi robota! To dopiero jest dobra robota! — powtarzał z zachwytem — Takich pomocników więcej, a wyłapiemy zbrodniarzy całego świata!

Bernac zaś uściśnął gorąco rękę młodej dziewczyny, patrząc jej głęboko w oczy.

— Panno Michalino, mój przyjaciel Cambaux ma słuszną rację. Postąpiła pani jak stary, rutynowany detektyw — rzekł serdecznie. — Dzięki zręczności pani, pochwyliłszy w rękę główną nić tajemnicy. Od nas teraz zależna jest reszta! Edyta Brown i jej brat są już w naszej mocy!

Edyta i Winnifred Brown.

W Central-Palace, dnia poprzedniego w wielkiej sali, ozdobionej palmami, siedział przy stoliku wysoki mężczyzna, o suchej twarzy, bez wyrazu. Wąskie jego usta oceniały wasy tak czarne i gęste, że mogły wydawać się bardzo nienaturalne. Zajęty był przeglądaniem „New York-Heralda”, lecz widocznie uwagę jego niezbyt pochłaniały artykuły czytane, bo wzrok jego roztargniony biegł co chwila ku drzwiom głównego wejścia, przez które tłumy publiczności napływały do środka.

Musiał oczekiwać kogoś i to od dłuższej już chwili, bo wyraz zniecierpliwienia osiadł na jego czole, fałdując je lekko. — Kilkakrotnie spojrzął na wielki zegar, wiszący na ścianie i wtedy zmarszczki czoła pogłębiały się coraz silniej.

Nareszcie odłożył dziennik, trzymany w ręce. Dojrzał bowiem zwykłą towarzyszkę schadzek, starą damę, mocno zawołowaną, w obszernym, ciemnym płaszczu. W jednej chwili twarz jego rozjaśniła się.

Dama dostrzegła go również i poważnie zbliżyła się do niego.

Po pierwszych słowach powitania, wysoki pan ruchem głowy wskazał towarzyszkę zegar wiszący na ścianie.

— Nie mogłam przyjść wcześniej — tłumaczyła się.

Już teraz zaniechali wobec siebie odgrywanej w tem miejscu komedii nieznajomości, która zmuszała ich do pozorowego czytania, czy też pisania listów i ułatwiała rozmowę, prowadzoną zręcznie, przyciszonym głosem.

Obecnie byli już tak zaangażowani w bieg fatalny wypadków, że im już ta drobna nieostrożność zaszkodzić nie mogła, wobec szeregu innych, poważniejszych, już popełnionych.

Starsza dama usiadła otwarcie przy stoliku towarzysza i nawiązała się natychmiast żywa dyskusja.

— Jest co nowego? — pytał niespokojnie mężczyzna, patrząc badawczo w twarz towarzyszki.

— Nic tak bardzo interesującego. Ale ty, mój kochany, wydajesz mi się czemś zaniepokojonym. Znam twarz twoją i nic nie ujdzie mojemu baczному wzroku. Co masz mi do powiedzenia? Stało się coś niedobrego dla nas?

— Stała się rzecz, której poprostu zrozumieć nie mogę!

— No, co takiego?

— Wszystkie trzy moje brylanty znikły!

— Tak, jak pierwszy?

— Oh! Co do pierwszego, to nie można powiedzieć, żeby znikł. Powinienem, co prawda, znaleźć go w kieszeni Lambriera razem z szarym zeszytem i tymi dwakroć stu tysiącami franków. Nie było go jednak tam. Ale wkońcu Lambriere mógł go zgubić w drodze, a może poprostu zapomniał wziąć go z kasy Versigny'ego. Ale te trzy następne, zachowałem je przecież dobrze tam, w moim domku w Chelles — wiesz gdzie? No i ani śladu z nich! Znikły jak kamfora!

— Ależ to niemożliwe!

— Do kogo to mówiś?

— Gdzieżeś je ukrył właściwie?

— Pod deską podłogi w dolnym pokoju. Któż mógł wiedzieć o tej skrytce? Nie pojmuję tego!

— I zginęły stamtąd?

— Tak.

— I niema żadnego śladu, aby kto je stamtąd wydobył. Musiałeś przecież coś zauważyć!

— Nic zgola! Podłoga wcale nie jest naruszona. Badałem każdy kawałeczek dokładnie.

— Cóż więc myślisz o tem?

— Cóż mogę myśleć? Chyba, że zmarły ich wynalazca, który leży niedaleko stamtąd, przyszedł w nocy odebrać mi je.

Mówiąc to wysoki pan zaśmiał się szyderczo.

— Proszę cię, mój Winnifredzie — oburzyła się poważna dama — zaprzestań tych żartów. Wiesz,

jak nie lubię, kiedy się z lekceważeniem wyrażasz o tak poważnych rzeczach!

— Daj spokój stara! Nie pora na niemądre uwagi i obrazy! Przyznaj sama, że można oszaleć z tego wszystkiego! Od paru godzin głowę sobie suszę, co to może być! Chyba, że to jest robota tego wściekłego Bernaca! Niechbym go tylko dostał w swoje ręce!

— Choćby nawet! Bernac nie jest czarodziejem przecież. Daj spokój Winnifredzie, może ty źle szukałeś, musiałeś być zdenerwowany. Te kamienie mogły zagłębić się w ziemię, czy ja wiem zresztą?

— Powtarzam ci, że doskonale przeszukałem całe miejsce. Edyto, nie drażnij mnie, proszę!

— Człowiek jest omylnym — upierała się poważna dama. — Mogłeś się pomylić i szukać pod inną deską, a nie pod właściwą.

Mężczyzna zastanowił się chwilę.

— Dla spokoju twojego, choć znam każdą najmniejszą cząstkę mojej kryjówki, pójdę tam jutro i raz przeszukam jeszcze. Poruszę wszystkie deski, jedną za drugą, ale wiem, że brylantów już nie zobaczę.

— Ja mam nadzieję, że je odnajdziesz!

— Niema o czem mówić! Powiedz mi teraz, jak daleko posunęły się operacje Bernaca i jego pomocników.

— Tak, jak ci donosiłam telegraficznie, kiedy jeszcze odkrył pracownię w Saint-Oven. Wiem o tem z wszelką pewnością. Był tam już.

— Do diabła! — zaklął wysoki pan przez zęby. — To było do przewidzenia. Skoro taki człowiek, jak on, był już w pensjonacie i przewąchał coś, należy teraz spodziewać się wszystkiego. A do diabła, sprawa nasza się psuje! A myślałem już, że z niej wybrniemy!

— Jeszcze nie jest tak źle! Bernac był w pracowni, ale niewiadomo jeszcze, w jakich zamiarach.

— Przecież to jasne, że będąc w pensjonacie, musiał dokładnie przetrząsnąć pokój Guzowa, a że nie miałem wówczas wiele czasu i nie mogłem dostatecznie zatrzeć wszystkich śladów za sobą, mógł coś odkryć, co nas zgubić może!

— Ale co?

— Czy ja wiem! Guzik od ubrania, świstek papieru, bilet omnibusowy! Dla tego spryciarza, to bądź co wystarczy do dalszego tropienia. Lepszy ma węch, jak pies gończy.

— Czy sądzisz, że mógł odkryć otwór, wywiercony w ścianie? Zalepiłeś go dobrze?

— Zalepiłem, ale kto to może wiedzieć! Obawiam się tego właśnie najwięcej! Kusi mnie nawet przejść tam przekonąć się, ale ten Bernac musi pilnować pensjonatu i mógłby wytropić mnie. Zaryzykowałbym za wiele.

— Masz słusność, nie radzę ci tam pokazywać się. Wczoraj wieczór w mieszkaniu jego była wielka narada. Był tam Cambaux i ta mała!

— Wiesz, o czem mówili?

— Niestety nie. Mała jest bardzo powściągliwa i nie da się naprowadzić łatwo na drogę zwierzeń, szczególnie od kilku dni widzę w niej zmianę...

— To źle! Może, Edyto, popełniłaś jaką nieostrożność. Przypomnij sobie.

Poważna dama potrząsnęła przecząco głową i wyprostowała się dumnie.

— Ty wiesz doskonale, że nigdy jeszcze nie popełniłam żadnej nieostrożności. Dziwię się nawet, skąd powstać mogło w twojej głowie przypuszczenie podobne.

— A czy sądzisz, że bezpiecznie jest przechowywać w twoim pokoju naszą korespondencję, a szczególnie ten kompromitujący nas szary zeszyt?

— Niema w tem żadnego niebezpieczeństwa! Zato ci ręczę. Mała milczy i niechętna jest poufniejszej rozmowie, bo ją tak usposobił ten Bernac, ale odnosi się do mnie z całym zaufaniem, jak dawniej. A co do szarego zeszytu, to bezpieczniejszy jest u mnie, jak, pozwól mi powiedzieć, brylanty twoje pod podłogą twojej kryjówki.

— No, no! Daj tylko spokój z tymi brylantami! W każdym razie masz dziwny sposób przekonywania mnie! Ale teraz wracajmy do rzeczy! Czy nie uważasz, że to już najwyższy czas przystąpić do eksploatacji naszej sprawy?

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Wskazówki, jakie zawiera zeszyt Guzowa, są dostateczne. Posługując się nimi, można już zaryzykować przedsięwzięcie próbne i zacząć pracować.

— Tak. Wskazówki mogą być wystarczające. Ale praca kolo tego wymaga czasu i urządzenia pewnego. A nie mamy jeszcze możności zrealizowania naszych zamiarów. Trzeba jeszcze przeczekać czas jakiś.

— Jaka szkoda, że nie można zużytkować labo-

ratorium Guzowa w Saint-Oven. Tam wszystko jest przygotowane. Tylko maszynę w ruch puścić!

— Nie myślisz chyba o tem na seryo!

— Ależ nie, kochana Edyto, żartuję tylko! Jestem niepoprawny pod tym względem.

— Widzę to!

— Trzeba jakoś się pocieszać na tym świecie. Życie nie zawsze bywa rozkoszne.

— Ale przede wszystkim trzeba się uzbroić w cierpliwość, bo za nami jest zawsze, niestety, Jerome Versigny. Ach! mój Boże, żebyśmy się dowiedzieć mogli, gdzie się teraz ukrywał! Pomógłoby to znacznie naszej sprawie, nieprawdaż? Zeby choć wpaść na ślad jaki!

— Więc ty naprawdę nie przypuszczasz, że się z nim już dawno załatwili?

— Ach! to nie może być pewne! Ten Bob i Johmy Wills konserwują go pewnie pod kloszem. Archibald Graves pełny był doskonałych pomysłów.

— I trwasz dalej w niechęci porozumienia się z ludźmi „Trustu”? Toby może było niezłe!

— To jest szalona myśl, mój Winnifredzie! Pomyśl tylko, że chcąc porozumieć się z nimi, musisz pojechać do Londynu. Choćbyś się jaknajzręczniej przebrał i ucharakteryzował, narazić się możesz na poznanie.

— Gdybym jednak spróbował?

— Nie! nie! pod żadnym względem na to ci nie pozwolę! Bądźmy rozsądni. Musimy przyznać, że te dwakroć sto tysięcy, znalezione w portfelu barona de Lambriere, stanowią dosyć okazały zaatek. Wobec tego, że kilka lat, które strawiłam na poznaniu domu Versigny'ego i pozyskaniu sobie zaufania jego i jego córki, nie są stracone. Przyznaj, że przygotowałam teren doskonale i umiałam czekać na stosowną chwilę, by rozpocząć działanie.

— Oh! zapewne! Ty często masz słusność, Edyto! Oceniam cię też, jak na to zasługujesz.

— Powiedz lepiej, że zawsze mam słusność, to będzie sprawiedliwsze, mój kochany.

— Według więc twojego zdania, co robić teraz?

— Pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Nic nie przyspieszać, o nic się nie starać. Zakończenie naszej sprawy wypłynie szczęśliwie samo przez się. Ja ze swojej strony dalej śledzić będę działania Bernaca i jego pomocników.

— Ale ta mała?

— Pozostaw mi ją. Nie takie sprawy miałam do przeprowadzenia, a wyszłam z nich zwycięsko. Jeżeli tylko chcieć będę, doprowadzę ją do zwierzeń i zaufania, tylko obecnie nie chcę nalegać silniej, bo uważam, że jest pod wpływem Bernaca i nie chciałabym ją urazić.

— Czy sądzisz, że Bernac mówi jej wszystko?

— Ależ naturalnie. Stosunek ich jest bardzo serdeczny. Ona i Cambaux są jedynymi jego powiernikami, ale do tego starego dostępu nie mam, więc mogę tylko małej pilnować.

— Rób jak uważasz, pozostawiam już to do twojej woli.

— I dobrze zrobisz, bo nie zawiodłam cię nigdy. Najlepsze sprawy ja ci podsunęłam i przygotowałam zawsze, przypomnij sobie tylko, mój kochany.

— Jesteś nieocenionym współpracownikiem, Edyto. Zastosuję się też i teraz do twojej woli.

W pięć minut później wysoki pan, pożegnawszy towarzyszkę, opuszczał Central-Palace.

Była już późna godzina. Zmrok ciężki obejmował już ulicę, na której gdzieś połykiwało światło latarni. Wysoki pan podniósł wysoko kołnierz płaszcza i spokojnym krokiem szedł w dół ulicy. Nie zauważył, że z pod framugi jednej z kamienic oderwały się szybko dwie ciemne postacie i podążyły za nim w pewnem oddaleniu.

Wkrótce potem poważna, zawołowana dama ukazała się na progu Central-Palace. Rozejrzawszy się ostrożnie wokoło, wsiadła do automobilowej dorożki, stojącej pod kawiarnią.

— Gdzie mam jechać? — zapytał szofer, zapuszczając spojrzenie w głąb powozu.

— Na ulicę Monceau! — odpowiedziała dama.

Szofer natychmiast puścił w ruch maszynę i zwrócił się w stronę placu Gwiazdy, lecz zamiast podążyć w dół ku Królewskiej Bramie, okrążył w kierunku Pól Elizejskich.

Starsza dama nie zauważyła w pierwszej chwili tej pomyłki, lecz w końcu zorientowała się i zniecierpliwiona zaczęła uderzać w szybę, chcąc zwrócić uwagę szofera.

Ale automobil pędził dalej.

— Proszę stanąć! Proszę stanąć natychmiast! — zawołała niespokojnie — Mówiłam przecież, że chcę jechać na ulicę Monceau!

Maszyna zwolniła biegu i zatrzymała się.

(Ciąg dalszy nastąpi)